ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. | sobota 31 marca — niedziela 1 kwietnia 1934 r. | Nr. 14

Ignacy Chrzanowski

Nowa książka o „Panu Tadeuszu"

Jak się tego zgóry spodziewać było można, książka jubileuszowa o „Panu Tadeuszu“, wydanym po raz pierwszy przed stu laty, wyszła spod pióra S t a n i s ł a w a P i g o n i a*): nikt, w całej Polsce, nie był do spełnienia tego zadania tak powołany, jak ten niepospolity badacz, który całem swojem polskiem sercem, we wczesnem dzieciństwie ukochawszy Mickiewicza, jako człowieka, jako Polaka i jako poetę, poświęcił studjom nad jego twórczością znaczną część swego dotychczasowego (na szczęście dla nauki polskiej niedługiego jeszcze) życia. Najwymowniejszym w tej mierze dowodem było — d o n i e d a w n a — poprzedzone przepięknym wstępem krytyczne i komentowane wydanie „Pana Tadeusza“ w „Bibljotece Narodowej“: d o n i e d a w n a, bo dzisiaj najpiękniejszym owocem tej pracy jest właściwie świeżo wydana książka.

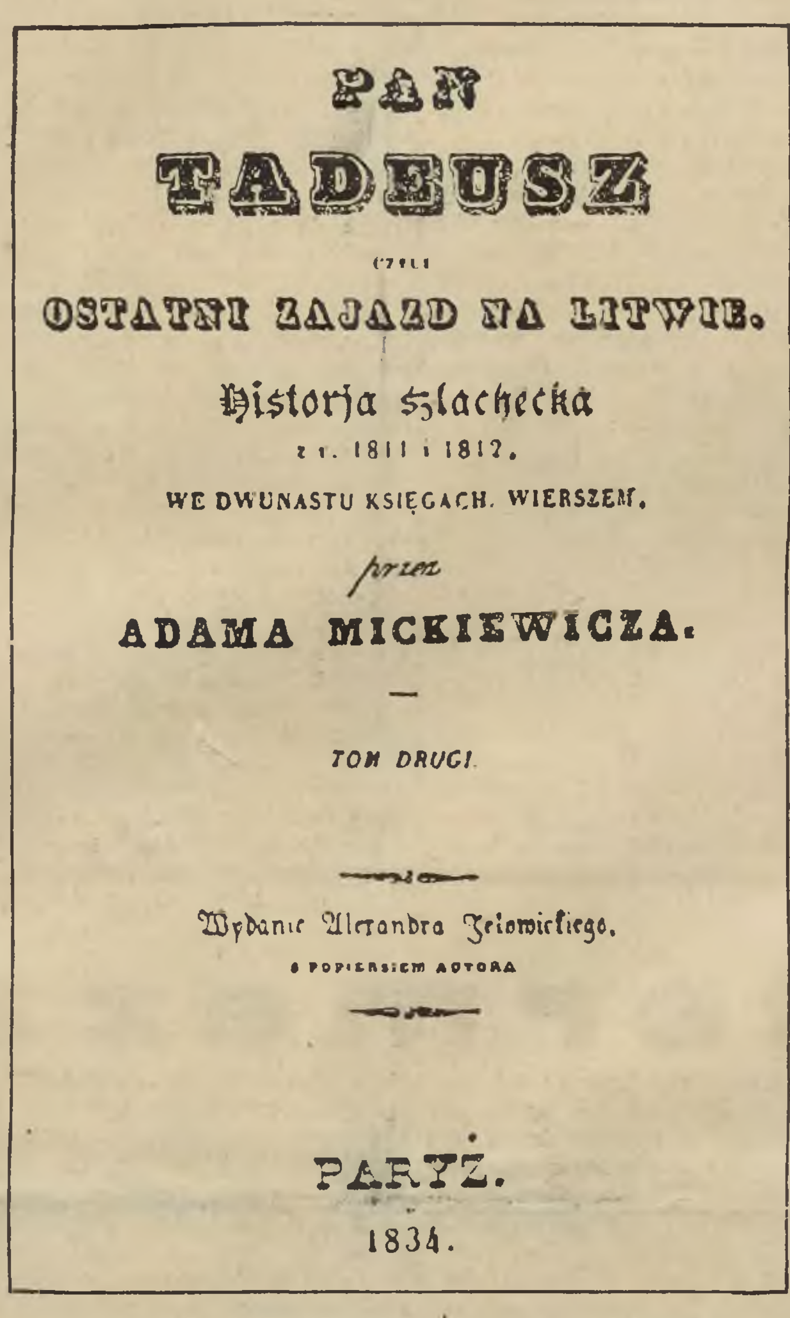
Składa się z siedmiu rozdziałów: przedmiotem sześciu pierwszych jest „wzrost“ i „wielkość“ poematu; w ostatnim, ze wszystkich najobszerniejszym, autor daje zarys jego wiekowej „sławy“.

Że „Pan Tadeusz“ wzrastał w duszy i pod piórem Mickiewicza nietylko w znaczeniu przyrostu ilościowego wierszy, ale i w znaczeniu gatunku poetyckiego, że się z pierwotnie zamierzonej i zaczętej sielanki w rodzaju „Hermana i Doroty“ przeistaczał stopniowo w najwspanialszy poemat epicki, jaki wydała nowoczesna literatura całego świata, to wiedziano już dawno — poczęści od samego Mickiewicza, z tem jednak zastrzeżeniem, że on sam, zdając sobie, oczywiście, sprawę ze wzrostu swego utworu, nie zdawał sobie należycie sprawy z jego wielkości. Prawda, że, coś na dwa lata przed śmiercią, kiedy się dowiedział, że ze wszystkich jego poezyj „Pan Tadeusz“ jest w kraju najpoczytniejszy, rzucił, jakby odruchowo: „To tak, jak psalmy Dawida“. Prawda i to, że, jak świadczy córka, Marja Górecka, ze wszystkich swoich utworów najbardziej lubił „Pana Tadeusza“. Ale to nie dowodzi jeszcze ani tego, żeby sobie uświadamiał całą jego wielkość, i to nietylko artystyczną, ale także moralno - religijną i narodową, ani tego, żeby rozumiał, iż „Pan Tadeusz“ jest dla narodu polskiego czemś dużo więcej, niż psalmy Dawida dla Żydów, bo tem, czem dla starożytnych Greków była „Iljada“ i „Odysseja“.

Ale mniejsza o to. Nie wiedząc napewno, czy Mickiewicz uświadamiał sobie w całej pełni wielkość swego arcydzieła, czy nie, jedno jest zupełnie pewne: oto, że, chociaż tyle już o „Panu Tadeuszu“ pisano (i to tak cudownie pięknie, jak Słowacki, tak mądrze, jak Krasiński i Norwid, Tokarzewicz i Chlebowski, tak subtelnie, jak Tretiak, tak wymownie, jak Tarnowski), dopiero Pigoń uświadomił i sobie i swoim czytelnikom całą wielkość poematu — moralno - religijną i narodową.

Co do wielkości artystycznej, to, chociaż badania w tej dziedzinie mogą się pochlubić tak pięknemi owocami, jak studja Tretiaka, Gostomskiego, a nadewszystko Stanisława Witkiewicza, jednak, naogół biorąc, są one jeszcze w nauce polskiej i n s t a t u n a s c e n d i, i zapewne dużo jeszcze wody upłynie, zanim nasza krytyka estetyczna potwierdzi i szczegółowo uzasadni sąd najznakomitszego — po śmierci Teodora Lippsa — estetyka niemieckiego, Jana Volkelta, który, choć zna „Pana Tadeusza“ tylko z przekładów, poznał się jednak doskonale na jego ogromnych wartościach estetycznych. Otóż Pigoń — na razie — pominął te wartości, chociaż je żywo i subtelnie wyczuwa. I kto wie, może niektórzy będą mu to mieli za złe, ci mianowicie, którzy, bardzo słusznie, domagając się od poezji nadewszystko piękna, zapominają, czy też nie rozumieją, że poezja, przynajmniej wielka, jest pokarmem dla c a ł e j duszy ludzkiej, a nietylko dla jej struny estetycznej, i że, co więcej, wrażliwość tej struny nieraz się wzmaga, jeżeli poezja wywoła silne oddźwięki także w innych strunach duszy.

Jeden przykład? Czy w duszy cudzoziemca (wszystko jedno, czy zagranicznego, czy „krajowego“) początek pieśni XI „Pana Tadeusza“ może wywołać tak silny odzew, jak w duszy Polaka? I czy ten silny odzew nie może się przyczynić, albo raczej czy może się nie przyczynić do w z m o ż e n i a w duszy polskiej tego wrażenia, które psychologja nazywa estetycznem? Tym razem nie Lipps miałby słuszność, gdyby z właściwym sobie radykalizmem temu zaprzeczył, tylko Volkelt, zdający sobie lepiej od Lippsa sprawę z tej wielkiej roli, jaką w doznaniach estetycznych odgrywają różne skojarzenia. Te zaś skojarzenia wywołuje nietylko dzieło sztuki czy zjawisko natury ze swemi przedmiotowemi właściwościami, ale także właściwości przedmiotowe tego, kto doznaje wrażeń estetycznych. A stąd wolno mówić o indywidualnych odczuciach estetycznych, i to zarówno jednostkowych, jak i — narodowych, czyli, inaczej, wolno mówić t a k ż e o „pięknie“ narodowem.



PAN TADEUSZ

CZYLI

OSTATNI ZAJAZD NA LITWIE.

Historja szlachecka

z r. 1811 i 1812.

WE DWUNASTU KSIĘGACH. WIERSZEM.

przez

ADAMA MICKIEWICZA.

—

TOM DRUGI.

Wydanie Aleksandra Jełowickiego.

Z POPIERSIEM AUTORA

PARYŻ.

1834.

Karta tytułowa pierwszego wydania „Pana Tadeusza“.

Otóż w całej naszej dotychczasowej literaturze o „Panu Tadeuszu“ niema, nie wyłączając „uwag“ i szkiców Tarnowskiego i Chlebowskiego, drugiej takiej książki, którąby w tym stopniu, co studjum Pigonia, duszom p o l s k i m uświadamiała te oddźwięki, które, s a m e w s o b i e będąc poza estetycznemi, przyczyniają się jednak w wysokim stopniu do spotęgowania wrażeń estetycznych. Temi zaś oddźwiękami są wartości narodowe i religijno - moralne „Pana Tadeusza“.

Co do wartości narodowych, to Pigoń dopiero wykazał szczegółowo i niezbicie, do jakiego stopnia, jak nawskroś, krew z krwi i kość z kości, jest ten poemat utworem polskim, jak mocno jest związany z tradycją polską, i to zarówno obyczajową, jak literacką; jego pokrewieństwo z Homerem i Walter - Scottem ogranicza się jedynie do strony formalnej, do stylu i techniki artystycznej. Wykazał także Pigoń, jakiemi drogami, albo raczej jakim cudem w duszy Mickiewicza, odbywał się pochód triumfalny wciąż narastających, a coraz bardziej ważkich pod względem treści pomysłów, ku wielkiej sharmonizowanej całości, która jednem skrzydłem uderzyła o przeszłość, a drugiem o przyszłość narodu.

Co do wartości moralno - religijnych, to znowu — Pigoń dopiero sięgnął w nie głęboko i z ich głębi wydobył prawdę i piękno mickiewiczowskiego ideału, przeświecającego w „Panu Tadeuszu“ poprzez szarą rzeczywistość codziennego życia polskiego i blaskiem swoim sięgającego... a d a s t r a, do poświęcenia za wyzwolenie ojczyzny, do składania osobistych uraz na ołtarzu jej miłości, do religijnej wiary w jej przyszłość. Najjaśniejszemi blaskami tego mickiewiczowskiego ideału są w poemacie: pojednanie Korony z Litwą (które Mickiewicz poczytywał za dzieło Boże, mianowicie, za zwycięstwo Boga nad szatanem) i dobrowolna pokuta, która wyrwała Jacka Soplicę z pęt pychy, egoizmu i zbrodni i powiodła go na wyżyny pokory, zapomnienia o sobie, heroizmu i — świętości.

Ale to jeszcze nie wszystkie zdobycze sześciu pierwszych rozdziałów przepięknej książki Pigonia. Zdobyczą, kto wie, może jeszcze większą, a w każdym razie nie mniejszą, jest unaocznienie tej niedosyć przedtem uświadomionej albo i całkiem nieznanej prawdy, że „Pan Tadeusz“ to symbol całej duszy, Mickiewicza od kolebki (dosłownie: od kolebki) aż do dnia skończenia poematu, to historja jego życia w swojej najistotniejszej treści, jego wrażeń, jego uczuć, jego poglądów na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość ojczyzny i — jego osobistych... upadków i wzlotów w krainę ideału (jego „głodu świętości“, jak mówi Pigoń, w którego języku i stylu siła słowa walczy o lepsze z jasnością i nadaje mu swoisty urok).

I wreszcie — rozdział ostatni. Daje on (jak zresztą i wszystkie rozdziały poprzednie) dużo więcej, niż obiecuje tytuł: oto stanowiąca treść tego rodziału historja sądów o „Panu Tadeuszu“, poczynając od własnych sądów samego Mickiewicza i współczesnych mu krytyków, aż do chwili dzisiejszej, jest zarazem, dzięki temu, że ujmuje pod szerokim kątem widzenia, — charakterystykę polskiej krytyki literackiej w ciągu całego wieku. Że niektóre z tych sądów (niezmiernie różnorodnych) przyczyniły się do popularności i umiłowania „Pana Tadeusza“, jako najdroższego klejnotu naszej poezji narodowej, to wolno twierdzić z wszelką pewnością. Ale i to także nie ulega wątpliwości, że książka Pigonia, ściśle naukowa, a jednocześnie tętniąca biciem gorącego i szlachetnego serca, będzie granitowem podłożem dalszego kultu „Pana Tadeusza“, kultu, który mimo możliwych odstępstw i załamań w duszach jednostek osobliwego typu, będzie wciąż wzrastał w naszem społeczeństwie w miarę jego wzrostu estetycznego, moralno - religijnego i narodowego.

*) „Pan Tadeusz“, wzrost, wielkość i sława. Studjum literackie. Wydano z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego. Warszawa, 1934, str. 400.

Jan Rembieliński

O dobie „przedmajowej"

Kiedy syn b. prezesa Rady Ministrów, zięć b. Prezydenta Rzeczypospolitej pisze powieść treści politycznej, gdy ponadto akcja powieści rozgrywa się w latach, w których właśnie teść i ojciec piastowali najwyższe w państwie urzędy — zrozumiałe jest, iż rzecz budzi pewnego rodzaju sensację, daje powód do rozlicznych domysłów: kogo właściwie chciał tu pisarz przedstawić, kreśląc te czy inne epizody, gdzie przechodzi on, od wiernego historycznie obrazu, w swobodniejszą dziedzinę fantazji twórczej, czy i którą z postaci powieści przeznaczył do wypowiedzenia przez jej usta własnych mniemań, własnych ocen, własnego ideowego credo...

kazałyby się w tym wypadku całkiem jałowe.

Na fałszywy trop sprowadziłoby przypuszczenie, że Władysław Jan Grabski utożsamił się w swej powieści z którymkolwiek z trzech braci Nowickich, z którymś z ich przyjaciół lub kolegów, czy wogóle z jakimkolwiek z pierwszo- czy drugoplanowych bohaterów swojego utworu. Nie jest specjalnie żadnym z nich, albo — wyrażając się o wiele ściślej — jest on k a ż d y m j e d n o c z e ś n i e i w r ó w n y m s t o p n i u, wciela się w każdego z nich po kolei, dając mu (wbrew pozornym, zewnętrznym odmiennościom) wciąż tę samą psychikę własną, ten sam własny sposób myślenia i odczuwania, ten sam, sobie właściwy, styl i słownictwo. Wszystkie odmalowane w powieści postaci, sko ro się im przypatrzeć bliżej, spod różnych przebrań ukazują też same rysy twarzy — są autoportretem.

Władysław Jan Grabski jest lirykiem. Lirykiem czystej krwi — bez skrzyżowań. Liryczny nawskroś, bez cienia pretensji do epopei, był jego pierwszy, młodzieńczy tomik „Rosja“ (1922), gdzie w krótkich wierszach spowiadał się ze swych przeżyć i refleksyj, jakie nasunął mu, chłopięcemi oczami oglądany, wielki przewrót rosyjski w r. 1917. Liryzmem tchnie kunsztowny zbiór sonetów „Trzy wieńce“, ogłoszony w r. 1926 w wydaniu bibljofilskiem. Nie zmienił się też poeta i obecnie, gdy od rymu przerzucił się do prozy, gdy występuje w nowym charakterze: powieściopisarza.

„Bracia“ są więc raczej pamiętnikiem lirycznym, aniżeli powieścią, w normalnem, powszechnie przyjętem znaczeniu tego wyrazu. Stąd brak konstrukcji: opowiadanie, rozwijające się pomiędzy dwoma krańcowemi zdarzeniami, zabójstwem prez. Narutowicza w r. 1922 i wojskowym zamachem stanu w maju r. 1926, mogłoby — równie dobrze — rozpocząć się wcześniej, — i ciągnąć dalej, co zresztą leży nawet bodaj w zamiarze autora, przygotowującego już podobno do druku następną część swojego dzieła. Stąd również rozliczne dygresje w tekście, raz po raz przerywające tok narracji, ale zawierające wiele spostrzeżeń bystrych, myśli niebanalnych, i — w gruncie rzeczy — stanowiące może największy urok książki i najtrwalszą jej wartość.

Z tej też, zasadniczej cechy utworu wynika, że nawet opisy zdarzeń historycznych (np. śmierć prez. Narutowicza, proces Niewiadomskiego i in.), aczkolwiek niewątpliwie oglądanych na własne oczy przez autora, posiadają zabarwienie wybitnie subjektywne, nie są w takim stopniu „dokumentem“, w jakim mogłyby się stać pod piórem twórcy, obdarzonego większą skłonnością do epiki. Nastroje, które w tych momentach przeżywają bohaterowie „Braci“, w większości wypadków nie są bynajmniej typowe dla ówczesnej postawy psychicznej społeczeństwa, czy poszczególnych grup, które mają w powieści reprezentować (młodych narodowców, piłsudczyków i t. p.).

Z drugiej strony jednakże, właśnie ten pierwiastek osobisty sprawia, że powieść Grabskiego jest czemś odmiennem całkiem ideowo i artystycznie wyższem nieskończenie od barbarzyńskich tak popularnych dziś t. zw. „faktomontaży“. Nie z reporterem obcujemy w niej, ale z człowiekiem. I przyjemność nam daje niezaprzeczoną ta możność zetknięcia się z człowiekiem subtelnym i wrażliwym, inteligentnym i szlachetnym. Niektóre urywki, jak np. kilkustronicowe rozważania o religji (wplecione w list studenta, Jacka Nowickiego, do przyrodniego brata swego, mieszkającego w Sowietach) należą do piękniejszych kart, jakie na tenże temat ogłosili w ciągu ostatnich paru lat nasi powieściopisarze. Tęsknota do jedności narodowej, żal spowodu wojny domowej i rozdarcia narodu, wywołują szczery oddźwięk u czytelnika.

I w tych fragmentach widzi się całkiem wyraźnie, że, pomimo swego subjektywizmu lirycznego, Grabski jest, bo być musi, przedstawicielem, w pewnym stopniu przynajmniej, swojego pokolenia, wyrazicielem jego dążeń, jago szamotań się, jego wiary.

Stanisław Młodożeniec

O t. zw. chłopomanji i o tych, co chłopów chcą mamić i tumanić

PRZYPISEK REDAKCJI:

Cięty artykuł Stanisława Młodożeńca poprzedzić trzeba kilkoma wyjaśnieniami dla tych czytelników, którzy może nie śledzili dokładnie przebiegu sprawy, o jakiej będzie mowa. Rzecz idzie znów o metody polemiczne osławionego „Pionu".

W n-rze 2-gim „ABC literacko-artystycznego" z dn. 7.I. b. r. ukazał się artykuł Stanisława Piaseckiego p. t. „Chłopy idą", poruszający zagadnienia wchodzenia do piśmiennictwa naszego pisarzy rodem ze wsi. Jako przykłady przytaczał artykuł twórczość poetycką Stanisława Młodożeńca (rodem z chłopskiej chaty w Dobrocicach), świetną prozę młodego pisarza Wincentego Burka (rodem ze wsi Ocinek w Sandomierskiem), a także nadesłane redakcji i wydrukowane w tymże numerze „ABC" wiersze Jana Brzuzy z Nowego Sącza, niewolne od błędów ale w sposób ciekawy i nowy ujmujące tematy wiejskie.

Wkrótce potem, w n-rze 3-cim (z dn. 20.I. b. r.) „Pionu" ukazała się notatka p. t. „Chłopy pana Piaseckiego", podpisana nazwiskiem niejakiego p. Tadeusza Makarewicza, a w notatce tej straszliwa, druzgocąca rewelacja: Jan Brzuza nie jest żadnym chłopem, bo był... urzędnikiem Ministerstwa Skarbu. Snać dla p. Makarewicza fakt ukończenia przez kogoś studjów i objęcie zawodu inteligenckiego przekreśla automatycznie chłopskie pochodzenie, chłopskie nazwisko, chłopskie pierwiastki psychiki i odrębności kulturalnej. Z równem powodzeniem mógłby p. Makarewicz ogłosić rewelację, obalającą przypisywanie Mickiewiczowi szlachectwa, bo przecież twórca „Pana Tadeusza" wykładał w College de France, był profesorem uniwersytetu...

Chłopskości pozostałych dwóch pisarzy, Stanisława Młodożeńca i Wincentego Burka, narazie p. Makarewicz nie kwestjonował. Biedaczek nie wiedział zapewne, że Młodożeniec z Dobrocic jest teraz profesorem gimnazjalnym w Warszawie, a Burek z Ocinka (o zgrozo!) studentem anglistyki, co jak wiadomo według panamakarewiczowej teorji przekreśla chłopskie pochodzenie całkowicie. Natomiast przyszedł p. Makarewiczowi w sukurs zwykły błąd drukarski, popełniony przez zecera, składającego „Pion" i przegapiony przez korektora tego pisma. Zamiast Wincenty Burek — złożył zecer „Pionu": Wincenty **Burchter.** Ani p. Makarewicz, ani redakcja „Pionu" nie uznała za stosowne sprostować w następnym numerze pomyłki. Niech sobie czytelnicy myślą, że świetny nowelista chłopski Wincenty Burek, drukujący swe utwory w „ABC", to jakiś żyd Burchter. Co za wspaniały triumf polemiczny przy pomocy błędu zecerskiego i niewinnego przemilczenia pomyłki! Patrzcie — oto chłopy pana Piaseckiego!

Ale nie dość na tem. Numer „Pionu" z notatką p. Makarewicza, zawierającą rewelację o Janie Brzuzie i przekręcone nazwisko Burka, wpadł w ręce p. Antoniego Olchy ze wsi Naprawa, który napisał do redakcji „Pionu" list, skwapliwie wydrukowany na łamach tego pisma w ostatnim numerze (z 24.III b. r.). P. Antoni Olcha wchodzi w skład redakcji miesięcznika „Wieś — jej pieśń", grupującej dawnego, przedwojennego typu „chłopów - literatów" (w rodzaju „Jantka z Bugaja"). Przeczytawszy artykulik p. Makarewicza w „Pionie" obruszył się. Jakto? To o nas nic nie wiedzą w Warszawie, a polemiki toczą się o jakiegoś tam Bruchtera? (Nazwisko Burka uległo dalszej metamorfozie — niewiadomo czy w liście p. Olchy, czy też może w sławnej z chlujności korekcie „Pionu"). Chwali się p. Antoni Olcha wydawaniem pisma „Wieś — jej pieśń", ochotą nawiązania kontaktu z oficjalną literaturą i tem, że wierszyki Jantka z Bugaja sam Sienkiewicz ongiś komplementował, a pomstuje na Młodożeńca za pisanie „przyśpiewów" i na wiersze, zakończone refrenem „Oj dana". Prawdziwa poezja chłopska — to tylko miesięcznik „Wieś — jej pieśń", który, broń Boże, nie wojuje z staffizmem, tylko drukuje wiersze Jantka z Bugaja.

P. Tadeusz Makarewicz wpadł w zachwyt po przeczytaniu tego listu. Co za radość! Wywołał wilka z lasu. Nareszcie „prawdziwy przedstawiciel literatury ludowej", p. Antoni Olcha, pomaga „Pionowi" zdruzgotać tych Młodożeńców i Bruchterów! Oczywiście p. Makarewicz jest tak sumienny, że i tym razem, załączając w „Pionie" komentarz do listu p. Olchy, ani słówkiem nie prostuje pomyłki co do nazwiska Burka. Niech się pomyłka utwierdza w pamięci! Co tam! Trzeba przecież pogrążyć tego Piaseckiego z „ABC" za wszelką cenę! Że wiersze „chłopów - literatów" w rodzaju Jantka z Bugaja są właśnie, niestety, przeważnie obrabianiem odpadków z pańskiego stołu „oficjalnej" literatury, w przeciwieństwie do chłopskiej prawdy, jaką wnoszą w literaturę Młodożeniec, czy Burek — to już p. Makarewicza nie obchodzi. Ważne dla niego jest tylko to, że znalazł „autentycznego chłopa - literata" p. Olchę, który zbałamucony jego notatką i przekręceniem nazwiska Burka na Bruchtera, stanął mu do pomocy w walce polemicznej z „ABC".

Tyle o stanie faktycznym sprawy. Poniżej cięty, kpiący artykuł Stanisława Młodożeńca, w odpowiedzi na praktyki pp. Makarewiczów et consortes. (Red.):

I.

W 12-tym numerze „Pionu", znalazły się dwa, pełne swoistego humoru kawałki, że warto nawet się nieco niemi zabawić. Idzie zdrowy powiew przez „Pion", schodzą widocznie z koturnów namaszczenia i zaczynają się śmiać. To zdrowe: czuć pęd chłopskiego powietrza, które orzeźwiło ten kurz ich papierowych wypocin.

Sumiennie obsługiwany przez literackie pismo p. Olcha, literat prosto od pługa, szczerze się uśmiał w liście do Redaktora **(którego?)** z p. Piaseckiego i chyba z jego udanych chłopów, **„które idą i wyglądają jakoś dziwnie... Pan Młodożeniec, Bruchter, Brzuza...** Więc to mają być te idące w literaturę chłopy?". Widzę, panie Olcha, jak pan napełnia to pytanie szczerym, szerokim, jedrnym śmiechem. Pan umie się śmiać, bo pan wyrósł na wilgotnej glebie.

Współczuję tylko Panu, spowodu tego trudu przy czytaniu artykulików p. Makarewicza. Już miałem sposobność dobitnie wykazać, jak to trudno czytać nawet profesorom Uniwersytetu (prof. Sinko!), nie mówiąc już o licznych wygiętych w skoku do katedry kandydatach. Trudna sztuka — to czytanie! Panie Olcha, mógł pan wszystkiego nie czytać, mogliby tak panu co szepnąć do ucha. Uczone takie pany, toby przecie co szepnęli i trud byłby znośniejszy.

A oni jeszcze ironjami takiemi się bawią, to dobrze chociaż, że Pan się odżegnał od walki ze „staffizmem". **„Chłopska poezja płynie swojem własnem łożyskiem"**, zapewnia Pan. **Płynie i z** całą gotowością wpada w Staff. A w który, panie Olcha? właściwie to pytanie także nie do pana skierowane, tylko do p. Makarewicza, do świetnego znawcy i sumiennego informatora, który się cieszy do tego stopnia, że gotów z panem łowić ryby w mętnej wodzie, stojącego i gnijącego stawu. On wybaczy panu Ironję (to panna Irenka z pałacu, panie Olcha), a będzie się unosił nad pańskiem **„wnikliwem odczuwaniem"** i nad **„dużą dozą krytycyzmu".** To więcej chyba znaczy, niż pochwała Sienkiewicza, jak pan mógł się znowuż przekonać przy mozolniejszem czytaniu „Pionu".

Pan Makarewicz dobrze radzi. Byli tacy, co radzili powtarzać „Oj - dana, dana" — a pan ich przygwoździł i p. Makarewicz też... Prosimy o dokumenty! Panie Olcha i Panie Makarewicz, pośmiejcie się szczerze, szeroko, otwarcie, wilgotnie! Przytoczymy wam próbkę takiej poezji i damy dokumencik:

> Tu krzaczek — tam krzaczek —
> zza krzaczka ataczek...
> pyk-pyk-pyk, pyk-pyk-pyk...
>
> Pachciarczyk rychtuje,
> chłopina celuje —
> pyk-pyk-pyk, pyk-pyk-pyk....
>
> Oj „dana — oj dyna —
> to się już zaczyna —
> pyk-pyk-pyk, pyk-pyk-pyk....

U!... To wasze jedyne „Oj dana dana!"

II.

Aj, panie Piasecki, co pan narobił? Co jest? To ja potrzebowałem panu zaufać i co ja mam? Szkandał jeden z tem „Oj dana, dana"! To pan nas spotkałeś, jak my się z **Bruchterem** bawili w chederze i my sobie robili te przyśpiewy „Oj dana dana" i pan wtedy krzyknąłeś:

— Mam!

I co pan masz i ile pan wziął za to, panie Piasecki? Skąd myby się tam w „Pioniu" dowiedziały, że **Burek** to **Bruchter,** jakby pan im nie powiedział i nie wziął za to pieniędzy? A o mnie to nie wiedzą? Nie udaj pan, panie Piasecki — to z drugą kolejnością wyjedzie i mój **Jungman.** Tam u nich już jest na papirzu i w korekturzy, a pan to masz w kieszeni i pan się śmiejesz w akcyjnej spółce z firmą „Pion".

Pan do mnie wymiślał takie nazwisko, coby się samo sobie dziwowało: ten **Młodożeniec** — i za te pare groszy pan robisz taki giewałt. To nie pan posyłałeś mnie na tę prowokację do strzelca, żeby ich chłopską kulturę klajsterować? Nie poznały: klaskały i niepoznały. Do ludowców od Wyzwolenia tyż: nie poznały. Thugut z Wroną kręciały nosem, a te młode goje klaskały tyż. Do ludowców - akademików od Polakiewicza: klaskały. W „Tygodniku Ilustrowanym" kiedyś — z miłym chęciem. W „Czasie" tyż. Nigdzie nie poznały.

A **Bruchtera** poznał kto? W „Kurjerze Warszawskim" — nie. W „Wyzwoleniu" — nie. W „Młodej Myśli Ludowej" — nie. Wszystkie tam miślały, że to Wincenty Burek. I jego ojciec na Ocinku taki był zaślepiony, co miślał, że to jego syn.

Nu — ile pan dostał od p. Makarewicza za tego **Bruchtera,** panie Piasecki? A co p. Olcha dostanie za swój śmiech, co go wyPomperował z tych szyrokich płuc? A gdzie kontrakt, panie Piasecki? Zająłeś nas z Bruchterem z chederu i obiecywałeś złote jajki i majufes, żeby my ino tych chłopów udawali z „Oj dana", bo wtedy potrzebowałeś pan ten interes! Pan mi dawałeś redakturę w literackie pismo i jeszcze te słowa mam z brzękiem w lewem uchu, tak były namiętnie szeptane:

— Panie Jungman — dam panu nazwisko, coby się samo sobie dziwowało, ale naucz się pan abecadła od estetyki, to będziesz pan estetyczny spec!!!

To ja się oburzałem panu w oczy i krzyczałem, że ja wszystko wim i mam i ja chcę na samy wirchuszce: ja się znam na plastelinie i na papierzu, i na kurz, i na śmieć, i na klawicymbal, i na wywieskach, i na literach z dwóch stron, i na literach z trzeciej strony, i na tyjater — i ja **wiczuwam! i ja wiczuwam!!**

To, panie Piasecki, ja panu jednem słowem powiem, co pan zrobiłeś z tym **Bruchterem** i co chcesz ze mną zrobić — pan jesteś Judasz na bidne żydki, że pan zawrócił w głowie i nie da zarobić na tem „Oj dana dana!"...

III.

Panie Olcha, pana **sumiennie** poinformowali, bo od tego są, a zresztą pan ma „wnikliwe odczuwanie i dużą dozę krytycyzmu". Właśnie — tylko z „oficjalną" literaturą! Ale proszę uważać: grzeczniutko, kapelusik pod pachą. I aby czasem nie wypsnął się panu jaki przyśpiew, np. — **„pachciarz — albo — oj dana!"** Pieśni - tak, ale przyśpiew, Boże broń. To może być w Dobrocicach, na Ocinku, u Kolberga, ale w literaturze — nie!

P. Makarewicz wie, że przyśpiewy rozlegają się tylko w chederach. Gdyby nie był pewny, to p. Pomirowski szepnie mu do uszka: po dwakroć święte! To spec od wszystkich liter: z dwóch stron je czyta i z trzeciej tyż. Litery nie śpiewają i nie będą. I literaci tyż nawet ludowi z p. Olchą na czele. Poco ten śpiew i ten krzyk i ten harmider? Duch ludzki z całemi przyległościami kucnął i siedzi nadęty, maszczony w literkach, p. Olcha, w literkach p. Pomirowskiego.

Cichutko, radzę. — i kłaniać się i liściki pisać. Panowie grzeczni — pochwalą. Jantka z Bugaja chwalił Sienkiewicz i było przyjemnie. Teraz są więksi panowie, to panie Olcha, okazja do większej przyjemności. A i ja miałem swoje przyjemności — to się pochwalę. Mógłbym się w lipę rosochatą wydąć z tej dumy, panie Olcha. Dwa razy ściskałem rączkę samego p. Kadena - Bandrowskiego i uśmiechał się. Laboga, panie Olcha, sam p. Kaden uśmiechał się do mnie, tylko, że chyba mnie nie ceni! Pana napewno będzie cenił, bo już p. Makarewicz pana pochwalił, a p. Pomirowski zaakceptował, p. Święcicki przypieczętował.

Aha, panie Olcha, i jeszcze jedno: sam prezes od Pałacu Literatury mówił niedawno: „Kolega Młodożeniec..." Laboga! Można przyjechać, powiedzą „Kolego!" — i ocenią — i Pałac pokażą — i harbatki naleją, o siole pogwarzą, bo sioło lubią. O braniu będą gadali, ino, panie Olcha, pilnujcie się, żebyście tam jakichś uniwersytetów nie kończyli. Burkowi Szekspira zachciało się studjować i z tą angielszczyzną swoje poczucie chłopskie chce pogodzić. Niewolno! Pilnujcie się, bo z Was jakiego Ojchlera zrobią i chłopomana. Oni tam strasznie lubią zmieniać nazwiska. Za pługiem, panie Olcha, chodzić i pieśni wyciągać, ale bez przyśpiewów, na miły Bóg. Literkami śpiewać, kulaskami takiemi wywodzić — i literatem się nazywać ludowym.

Ja z **Bruchterem** nie będziemy miejsca zabierać i nawet nie chcemy. Droga otwarta: Pałac pokażą, cukru dadzą i powiedzą: sioło! Ino, człowieku, bez przyśpiewów!

— — — — — —

I żart na stronę, panie Olcha, bo naprawdę wierzę, że niejakich rzeczy można się od Was nauczyć. I wy czegokolwiek od Burka, może i ode mnie też moglibyście się nauczyć. Nawet o tym „Wielgim Jasiu" moglibyśmy się dogadać. **I o Mańkucie też — i o Lichocie też! I o Mańkucie też i o Lichocie też! I o Mańkucie też — i o Lichocie też!**

P. Piasecki conieco ciekawego takżeby dorzucił. Ajno! I od Was chętnie, z czego można, skorzysta, ale Was czemśta do wiatru nie wystawi. Mam jednak głębokie, ludzkie przeświadczenie, że p. Makarewicz licho co wie, a od p. Pomirowskiego moglibyście dostać tylko trochę śmiecia.

Wierzę, że się od Was wielu rzeczy można nauczyć i od p. Brzuzy, którego nie znam, też się można nauczyć — przyjemnie, choć za miękko pisze. Ja ciągle się uczę od Jasia Patera, parobka, pracującego u mojego ojca na wsi.

I naprawdę, Panie Tadeuszu, i teraz nie mam do Was żalu, choć nie wiem cui bono chcieliście mnie upokorzyć. Ale, Panie Tadeuszu, Jaś Pater, gdy, karmiąc krowy, napotka spleśniałe siano, nie włoży go za drabinę. Nietyle już może z miłości do tych bydląt, bo taki znów idealny nie jest, przecież wie, że po takiem sianie paskudne mleko musiałby brać do gęby.

L. Całkosińska

Intermezzo

Wiosna... Odsuwam zniechęcona „Claude" *). To co mogło w niej być młodością i uśmiechem gaśnie pod nalotem rezygnacji.

O ile by to piękniej było, gdyby rezygnację zastąpić dumną akceptacją życia! I gdyby wogóle „Claude" była zupełnie, zupełnie inna.

Dlaczego, — myślę — Madame Bovary; petite Thérèse-Bordeaux Odile-Maurois — czarujące wraz z tylu innemi pełnią życia i błędów, tem bliższe, że niedoskonałe, wyniesione miłosiernemi dłońmi autorów na wyżyny piękna, te, które latami niepokoiły wyobraźnię ludzką, z chwilą, gdy wezmą do ręki pióro, ulegają radykalnej przemianie, ukazując pedantyczną oschłość tradycyjnej bas-bleu? Dlaczego z dzieł francuskiego pisarza wyziera wielkoduszność i lotność, a z kobiecych surowa trzeźwość Francji. Trzeba jakiegoś szczęśliwego trafu, by wyłowić tak cenne perły, jakiemi są pełna słodyczy i prostoty Margueritte Audoux i zuchwała Colette. I czemu to przypisać, że promienne słońce Francji sprzyja raczej racjonalizmowi, wówczas, gdy mgły, deszcze i fale morskie bijące nieustannie o wybrzeża W. Brytanji stworzyły trzy elementy kobiecej twórczości tego kraju: — odwagę, humor i słodycz? I czy dlatego francuski romans przypomina ostry i wyraźny w konturach rysunek piórkiem, a angielski delikatne, zamglone pastele?

I w czem tkwi ostateczna tajemnica pisarek angielskich, tak różnych od ich sióstr na kontynencie?

Mogłabym wyliczyć niby w litanji, nazwiska tych wszystkich, które kolejno wnosiły w moje życie, razem z zachwytem jednoczesny smutek, złączony z świadomością ich przedwczesnej śmierci. Jane Austen, ciemnowłosa piękność, dająca literackiej Anglji, humorem i charakterystyką życia prowincji, więcej niż to w ciągu ostatnich stu lat uczyniły jej następczynie. Currer Bell, anioł - mściciel uciemiężonych, łącząca cromwelowski fanatyzm w zwalczaniu obłudy, z współczesnym romantyzmem. A Emilja Broutte, zapoznana siostra Charlotty, płomiennookie zjawisko przebiegające z rozwianemi lokami okoliczne wydmy; tak bardzo romantyczna, tak szybko spalająca się w rozterce ducha. Mary Webb — (musiała chyba mieć za matkę chrzestną George Eliot, bo obojętna na prądy nurtujące powojenną literaturę tkwi korzeniami w epoce wiktorjańskiej), śpiewając swą pieśń jednemu jezioru, które urzekło ją w najdalszym zakątku Anglji. I wreszcie ta najmilsza, Tig Mansfield, tak nierealna i fantastyczna, że boję się spłoszyć ją niebacznem słowem.

Nie mówmy o nich, one śpią tylko... a teraz jest wiosna.

I pisząc to, widzę ją: Rosamond Lehmann.

Gdym czytała jej pierwszą dziewczęcą pracę **), a jest jeszcze bardzo młoda — pomyślałam, że Alicja z Krainy Czarów uczyła ją chyba sztuki stąpania po ziemi, z głową w obłokach, w których łowi gołębie marzenia. I że szkodaby było, gdyby miała jej zapomnieć. Bo właśnie urok i wdzięk tej dziwnej, trochę hardej, trochę żałosnej powieści polega na nieustannem przenikaniu się przeczywistości z fantazją. Ci, którzy znają, twierdzą, że jest to autobiografja. Nie wiem tego napewno, ale czy każda powieść do pewnego stopnia nie jest nią? Czy powierzając jakiemuś skrawkowi papieru nasze myśli, uczucia i przeżycia, nie wydajemy żywcem samych siebie? Tak, czy inaczej w danym wypadku hipoteza ta jest zupełnie możliwa; tyle nieprawdopodobnej świeżości, tyle dziewczęcych nastrojów, począwszy od najwyższego upojenia, po beznadziejną rozpacz i niewiarę tętni w tej książce.

Wszystko to, co stanowi jądro młodego życia: marzenia, głód wiedzy, studjów, przyjaźń i miłość wypełniają po brzegi „Dusty Answer". Historja młodziutkiej Judith, której udaje się wejść w życie zwartej i „samowystarczalnej" gromadki dzieci „z za muru", — ma niezależnie od odwagi, z jaką autorka zbliża się do niektórych zagadnień, nieopisany czar młodości i poezji. Wszyscy, w tej powieści, mimo, że wytrąceni przez wojnę z utartych dróg życia — są młodzi. I najmłodsza, najżarliwsza w poszukiwaniu życia z równoczesnem zacieraniem śladów rzeczywistości sama-Judy I dopiero, gdy przyjaźń zawiedzie, oszuka miłość, spadnie na moment zasłona, ukazując rzeczywistość. Symbolizuje to chwila, w której wpatrzona w odbicie Roddiego w lustrze uprzytamnia sobie dwie rzeczy, to, że nie odwróciła głowy, by ujrzeć żywego i świadomość, że w życiu jej był snem, „Snem, który się ciągle powtarza, twarzą widzianą w anormalnem oświetleniu, zdeformowaną kompletnie. Nigdy go nie znała — nigdy nie był rzeczywistością. Usiłowała go wciągnąć na swoją drogę i nastąpiła klęska. Ale uwolniła się. Dom obcy stoi pustką, czereśnie ścięto i „dzieci z tamtej strony" odeszły. Ale w porażce, pozostaje Judy jedno — radość. Była silniejsza od ich zbiorowej siły, odegrała rolę w życiu każdego z nich — zwyciężyła. Teraz zamknie rozdział życia. Niedługo zacznie myśleć. I co dalej? Ale jeszcze nic teraz.

Takim akordem kończy R. Lehmann powieść, o [illegible] moralności mówią, że jest zuchwała — a ja myślę, że przedewszystkiem bardzo młoda. I to niezależnie od doskonałych walorów artystycznych. Zdaje mi się, że właśnie tej cechy nie doceniła autorka, pisząc swą drugą powieść „Nuta muzyczna". Wygląda to tak — jakgdyby postanowiła wejść w życie starszych i uczyniła to tak, — jak zwykli młodzi, z całą bezwzględnością przekonania, iż ci ludzie są kompletnie skończeni, bez jutra i możności rozwoju. To bardzo smutne, bardzo przygnębiające. Zwłaszcza, że z wszystkich elementów, jakimi Lehmann posługuje się, wybrała poczucie brzydoty i miernoty, dając mu najgłębszy wyraz.

Nutą muzyczną w jej opowiadaniu jest pojawienie się, w środowisku skończonych, skazanych na szarą egzystencję ludzi, młodego beztroskiego chłopca. Wchodzi w nie, obala nieświadomie spokój drzemiących serc, budzi przez kontrast poczucie szarzyzny i tęsknotę do innego, barwniejszego życia, — odchodzi niewinnie w swoje prawdziwe życie", pozostawiając po sobie gorycz tych, którym pozwolono bezkarnie wsłuchiwać się w cudzą pieśń. I przez cały ten czas autorka upiera się, tak zupełnie dziecinnie obstaje przy tem, by akurat, tak a nie inaczej na to patrzeć, aby nie zostawić żadnego złudzenia tym starszym. Ta beznadziejność, z jaką uniemożliwia swym bohaterom rozwiązanie problemu brzydoty ich życia, — jest największem okrucieństwem młodości, a zarazem i świadectwem.

Trzecia z powieści „The Invitation to the Waltz" przekonała mnie znacznie mocniej — od wszystkich reminiscencyj i analogji motywów, zaczerpniętych z „Szczęśliwości" i „Pierwszego balu" K. Mousfield, że R. Lehmann należy do grupy tych pisarzy angielskich, którzy z Wirginją Woolf na czele rozwijają w powieści pewien motyw, dając mu najpełniejszy wyraz. Dzięki temu fragmentaryczność nabiera cech skończonej całości. Może nie omylę się, przypisując zasługę tej formy utworów K. Mousfield. Doskonałym wyrazem powyższego typu jest „Zaproszenie do walca".

Cóż to jest? Historja kilku dni przed balem i nocy balowej, w czasie których dwie siostry stykają się: jedna z życiem, a druga z miłością. I mała rozżalona Oliwja zastanawiając się nad tem dochodzi do przekonania, że „wszystko się zmienia — nic nie jest do siebie podobne." Zostawiono ją w drodze. Ale nie da się. Ona też ma o czem myśleć. Tyle różnorodnych rzeczy przeżyła tej nocy. To poprostu nadzwyczajne. Życie! O Kate! czy nigdy sobie nie powiemy?... I okrzyk ten zdradza cały świat nadziei, otwierający się przed oczyma Oliwji. A równocześnie zdajemy sobie sprawę z tego, że „Zaproszenie do walca" jest pasowaniem R. Lehmann na dorosłą istotę.

To ciekawe, jak bardzo przypomina mi drogę, po której kroczy Francis Robert. I tu atmosfera nabiera ciepła — i tu życie rodzinne ma daleki odblask pierwowzorów Jane Austen i Dickensa. I tu gwałtowne falowanie uczuć łagodnieje. Jeszcze brzydota, upojenie, zwątpienie przewijają się przez życie obu dziewcząt, ale złagodzone i jakieś inne... Wygląda to tak, jakgdyby autorka wykonała drobny, porozumiewawczy znak w stronę czytelnika, szepcząc razem z wujem Oswaldem: „Jakież urocze! Siebzehn Jahre alt". To właśnie stosowny wiek dla tak krańcowych uczuć...

I naraz staje mi się czegoś żal. Już wiem: Rosamond Lehmann dorosła.

*) Claude. Genevieve Foconnier — Prix Feminin.

**) Rosamond Lehman, „Dusty Answer", tłumaczona na język francuski i polski.

Jerzy Konopacki

Hrabiowie i Książęta Sułkowscy

Dwóch było Polaków, których imiona tragicznem bohaterstwem zapisane są na pierwszych kartach dziejów porozbiorowych dawnej Rzeczypospolitej: Józef hrabia Sułkowski i Władysław ks. Jabłonowski.

Szczególny zbieg okoliczności sprawił również, że około ich dzieciństwa krążyły fantastyczne



JÓZEF HR. SUŁKOWSKI
(według portretu Vigée Lebrun).

wieści: książe Jabłonowski, zwany „Murzynkiem", miał być potomkiem nieprawej córki Stanisława Leszczyńskiego, a Józefa hr. Sułkowskiego po dziś dzień niedokładni historycy i anonimowe encyklopedje chrzciły mianem nieprawego dziecka. Obecnie, dzięki usilnej pracy prof. Adama Skałkowskiego, najbardziej niewątpliwie powołanego do opracowań życiorysowych, mamy wyjaśnioną ułudną tajemnicę pochodzenia genjalnego adjutanta napoleońskiego.

Komisja Historyczna poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk wydała źródłową pracę prof. Skałkowskiego: „Rodowód Józefa Sułkowskiego i jego listy młodociane". — Umyślnie na początku niniejszego związaliśmy dwa nazwiska, z których przynajmniej jedno już prawie zupełnie rozjaśniono w przyczynku biograficznym bohatera, o którym wiadomo, że w młodości zaszczytnie walczył na Litwie przeciw Rosji, później zajmował się dyplomacją, publicystyką, uznawany za talent w każdej z tych dziedzin; w wojskowości poczytany za genjusza; z myślą o Polsce walczył w Egipcie i tam zginął.

Nadzwyczajną była karjera rodu Sułkowskich, „szlachty drobnej, lecz zasobnej", herbu Sulima, której przedstawiciel na początku 18-go stulecia był zaufanym ministrem króla Augusta III-go i dla swojej linji zdobył tytuł książęcy; druga linja rodu — hrabiowska, liczyła w swem gronie dygnitarzów nie dyplomacji, lecz wojskowych; z niej wywodził się Józef hr. Sułkowski, syn Teodora, pułkownika austrjackiego, a bratanek rodzony dwóch generałów i dwóch pułkowników.

Pochodzenie Józefa Sułkowskiego od Teodora, dawno nie ulega wątpliwości, i prof. Skałkowski zaznaczył to już w poprzedniem swojem dziele „Les Polonais en Egypte", i wbrew przypuszczeniom prof. Askenazego, który polegając na spóźnionych pogłoskach oraz niedokładnych pracach St. Albin'a, snuł hipotezy o przypuszczalnym pochodzeniu Józefa od Franciszka księcia na Bielicach Sułkowskiego. Podobnie mniemał prof. Sokolnicki, a prof Konopczyński w feljetonie, którego tytuł nawet to wyrażał („Książęcy podrzutek"), opierając się na liście ks. Franciszka, piszącego, że spodziewa się „encore" jednego nieprawego potomka, budując na tym słówku „encore" hipotezę, że był już jeden syn książęcy nielegalny — i to właśnie... Józef. Nawet prof. Wayda słusznie zwraca uwagę, że „takie ilościowe pojmowanie tego wyrazu (encore — nasz przypis.), niekoniecznie zgodne jest z duchem języka".

Prof. Skałkowski oprócz dzieł drukowanych wyczerpał nieznane skarbnice Archiwum Rydzyńskiego, Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu, Archiwum książęcego w Bielsku i dane z urzędów stanu cywilnego. Piszący te słowa ze swej strony, choć sprawa przesądzona, uważałby za dalszy przyczynek: stan służby Sułkowskiego w wojsku polskiem i niewątpliwie istniejące jakieś zeznania Sułkowskiego w urzędach polskich w owych czasach, gdy zwykle akt zaczynano formują: „filius olim..." syn niegdy ect.

Opoką wywodów omawianej przez nas pracy są listy Teodora i Józefa Sułkowskich, znajdujące się w pokaźnej liczbie w zbiorach poznańskiego Tow. Przyj. Nauk. (Listów Józefa — zachowało się 20).

Najważniejszym, spośród 204-ch listów Teodora, pułkownika, jest list, pisany z Raab 23. 3. 1773 r., podający wiadomość o śmierci Julji z domu Qualisc Teodorowej hr. Sułkowskiej: „Elle m'a laissé encore après ses dernieres couches un fils, de deux mois" — daty zgadzają się z innemi świadectwami, udowadniającemi, że tym synem był Józef; sam ks. August Sułkowski, stryjeczny brat Teodora, w swoich notatkach p. t. „Portrait fidèle du cte Jos. Sułkowski...", to stwierdza; wszystkie listy Teodora i Józefa potwierdzają tę filjację; wykluczonem jest w tym razie ojcostwo ks. Franciszka, który najmniej spośród stryjecznych stryjów interesował się Józefem, a jego ojca, Teodora, nawet uciemiężał swemi zarządzeniami. Jeszcze w 1792 r., po wojnie polsko - rosyjskiej, Józef Sułkowski jeździł do Raab w sprawie spadku po swej matce, Julji Qualisc, legalnej małżonce Teodora, który powtórnie ożenił się z Małgorzatą Zofją Guiot de Fiéville.

Doprawdy, stosunki rodzinne Sułkowskich mogłyby stanowić treść dramatu. Odrazę budzi nieżyczliwość, jaśnie oświeconej linji książęcej dla linji hrabiowskiej. Biedny pułkownik Teodor Sułkowski naprózno błagał kuzynów o zwyczajny list polecający, aby mógł się ożenić z posażną hr. Zichy lub hr. Niary. Książęta zwlekali, pochłonięci zabawą, awanturami lub podróżą.

„Biedny, pożałowania godny pogorzelec, nagi, jak Hiob", tak sie bie określał hr. Teodor, prosząc stryjecznego brata o schronienie, opał i ogródek przy braterskim zamku w Bielsku, skąd go później usunął ks. Franciszek, ze względu na skargi administracji, której oszustwa wykrywał emerytowany pułkownik cesarskiej armji.

Najuczynniejszym jeszcze był ks. August, który obdarował małoletniego Józefa komandorją maltańską, a jego jedyną siostrę, Teodorę, zapisem pieniężnym; tu zaznaczmy, że Teodora zmarła młodo i niezamężnie, więc brat jej Józef nie mógł być „szwagrem" niejakiego Maliszewskiego, pseudo - hrabiego, co mylnie podają niektóre źródła.

Ze stryjecznym stryjem, ks. Augustem, odbywał Józef Sułkowski podróże po Europie; ojciec zdala tylko zasyłał mu błogosławieństwa, kłopotał się o nieziszczalne spadki i wkońcu zmarł w 1791 r., pozostawiając Józefowi zaledwie 100 dukatów, oraz swoją broń i książki, ocenione tylko na 40 florenów. Oto był spadek linji hrabiowskiej, wobec przepychu linji książęcej, władającej księstwem Rydzyny, księstwem Bielska i hrabstwem leszniańskiem (same włości bielickie: przeszło 3 mile kw.). Gdzież t. zw. staropolskie uczucia rodzinne? A przypomnijmy, że mądrą koleją losu, wielkie imię ubogiego Józefa Sułkowskiego stało się później najlepszą protekcją dla jego krewnych książąt - ordynatów.

To było odwróconą kartą losu. W kwietniu 1806 roku, Antoni Paweł książę Sułkowski, syn Antoniego ordynata na Rydzynie, był przedstawiony Cesarzowi Francuzów, który wyraził się, że znajduje w nim pewne podobieństwo do Józefa: „Un air de famille". Podobnie, książę Jan Sułkowski, syn Franciszka, ordynata na Bielsku, wstępując do wojska w 1807 r. powoływał się na Józefa, jako jego „cousin germain".

Oczywiście, już chociażby te wydarzenia stwierdzają, jak drogiem sercu Napoleona było wspomnienie o poległym w Egipcie adjutancie. Doprawdy, zbytecznem jest powoływanie się na ludzi, którzy w dniach nieszczęścia, jak gen. Montholon lub hr. de Las - Cases poznali dobroć wielkiego Cesarza: ktokolwiek był zdolnym nieco pojąć Napoleona musiał odrzucić naiwną fantazję, że w Egipcie ówczesny gen. Bonaparte miał umyślnie wysłać na zgubę swego adjutanta Józefa Sułkowskiego.

Trudno się zgodzić z wielu opinjami, 20 lat temu wypowiedzianemi przez J. Lorentowicza w jego recenzji o „Sułkowskim", dramacie Żeromskiego (J. Lorentowicz: „Tragedja polskiego bohaterstwa"), a tylko trzeba stwierdzić, że godnem pożałowania jest uwiedzenie się Żeromskiego złudą rzekomego „efektu". W przedostatniej odsłonie „Sułkowskiego", pan Venture wygłasza taki frazes: „Patrzałem. Bonaparte podniósł niepostrzeżenie, tajemnie rękę... Ten gest wschodni jednoczy się z zaklęciem:—Idź i zgiń!".—Te słowa są fantazją, a przywiedzione na początku niniejszego argumenty naukowe stwierdzają również niezgodność z rzeczywistością słów Żeromskiego, że matka Sułkowskiego pochodziła: „z motłochu" — w istocie była szlachcianką węgierską i ślubną żoną pułkownika Teodora Sułkowskiego.

Jak jednak poniżać się, albo cudzym kosztem wywyższać — a zawsze: kłamać, zmusza nędza „ubogich krewnych!" Macocha Józefa Sułkowskiego, w wiele lat po jego śmierci, wystarała się, za



NAPOLEON I
(według sztychu Isabey'a z książki „Napoleon Bonaparte", wyd. 1803 r., ze zbiorów Miłosza Gembarzewskiego).

pośrednictwem nie badających sprawy, marszałka Davout i gen. Rożnieckiego, o emeryturę ze względu na zasługi swego „syna" Józefa; władze cywilne stawiały pewne trudności, ale nie można było kompromitować marszałka Davout, który pierwszy pośpieszył z ofiarą dla nieszczęśliwej staruszki, nieprzewidującej przyznanego sobie „macierzyństwa" i dlatego (zgodnie z prawdą) nazywającej w listach Józefa pasierbem („Stiefsohn"). Coprawda, wychowywany przez nią od niemowlęctwa, Józef Sułkowski, mianuje się w listach, ceremonjalnie, jej synem, ale w testamencie nie czyni o niej jakiejkolwiek wzmianki.

Górne i proste są słowa owego testamentu, datowanego w Wiedniu, w 1792 r.: „Ja, podpisany, postanowiwszy jeszcze spróbować hazardu wojny, uważam za konieczne wyłożyć w tem piśmie moją ostatnią wolę..." (oryg. po franc. podpisano) „Joseph Comte de Sulkowsky".

I znowu przychodzi na myśl, za oceanem poległy Władysław ks. Jabłonowski, uwieczniony, jak dotąd, tylko parowierszem Mickiewicza o bohaterze, który zabiegł „gdzie pieprz rośnie, gdzie cytryna dojrzewa". Zastępca Dąbrowskiego w naczelnem dowództwie Legjonami, książę Jabłonowski, w kilka lat po śmierci Sułkowskiego, 10 paźdz. 1802 r., wysiadł z fregaty na San - Domingo, a już 26 grudnia tegoż roku — zmarł na żółtą febrę. W literaturze, kłamliwe wieści o Jabłonowskim napisał fałszerz - powieściopisarz Suffczyński; rzeczywiste dane o wodzu z San - Domingo podał w jednej ze swych prac prof. Skałkowski.

Cóż jednak się stało ze znakomitą fortuną książęcej linji Sułkowskich, obojętnej dla ubóstwa Józefa hr. Sułkowskiego, a później szczycącej się swojem z nim pokrewieństwem? Przypomina się smutna t. zw. „Sprawa Rydzyny". Ta zdrada narodowa opisana dokładnie w piśmie opiniującem związku adwokatów polskich we Lwowie, w 1914 r., zaczęła się w 1905 r., gdy ostatni ordynat Rydzyny, ks. Antoni Sułkowski, obalając, samowolnie i samolubnie, uchwałę Stanów Polskich o utworzeniu ordynacji, rządzącej się statutem, od 1783 r., gwarantującym trwałość majątku, zabezpieczającego los polskich fundacji naukowych, ułożył mocą zwykłej „uchwały familijnej", aby Rydzynę „oddać na wolną i nieograniczoną własność" rządowi pruskiemu, wzamian za sumę, będącą częścią wartości: 4 miljonów marek, które miały przypaść potem w spadku pp. Henrykowi hr. Potockiemu i Antoniemu hr. Wodzickiemu. Sprzedawczycy nie zawahali się, choć żył imiennik, Alfred ks. Sułkowski.

O fundacjach szkolnych w Rydzynie pisał wyczerpująco w świetnej monografji prof. Truchim. Instytucje te były założone przez Augusta ks. Sułkowskiego, charakterystyczne, że ongi najwięcej troszczącego się o losy stryjecznego bratanka Józefa, bohatera spod Piramid. August ks. Sułkowski także na sejmie 1775 r., żądał zmienienia poddaństwa i tortur w sądach.

Wszystko to składa się na ciekawy historycznie i literacko obraz dramatycznych dziejów rodu książąt i hrabiów Sułkowskich.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Sąd w Wonderlandzie

Na Boże Narodzenie i Nowy Rok opowiedziałem wam dwie części przygód Ali w krainie czarów. Na Wielkanoc opowiem trzecią i najpiękniejszą:

Król i królowa kierów siedzieli na podwójnym tronie, otoczeni świtą. Była to przeważnie talja kart, pomieszana z czeredą wszelakich stworzeń. Walet pikowy w kajdanach na rękach i nogach stał przed dostojną parą, otoczony strażą. Na środku sali stał stół, a na nim, na porcelanowych podstawach, były umieszczone torty.

Sędzią był król. Dwunastu przysięgłych pisało coś pracowicie na tabliczkach.

— Co też oni mogą pisać? — zapytała szeptem Ala wielce zdziwiona — wszak przed rozpoczęciem sprawy nie mają co notować?

— Piszę swoje imiona i nazwiska — odszepnął graf — mogliby zapomnieć ich ze strachu podczas sądzenia sprawy.

— Głupie stworzenia — wyrwało się głośno Ali. Powiedziała to zupełnie niechcący. Jakież było jej zdumienie, gdy zobaczyła, że wszystkie stworzenia przysięgłe zanotowały tę uwagę na swoich tabliczkach. Jedno nawet zapytało, jak się pisze: „głupie".

— Heroldzie, czytaj, proszę, akt oskarżenia — zawołał w tej chwili król.

— Królowa kier przygotowała ciastka
Na letni dzień weselny
A walet kier ukraść chciał ciastka
I ukraść w sposób bezczelny!

— Wezwij pierwszego świadka — wydał król rozkaz.

Pierwszym świadkiem był kapelusznik.

— Co wiesz o torturach? — zapytał go król i dodał: — Co ci jest, czegoś taki rozdrażniony, uspokój się natychmiast, w przeciwnym razie grozi ci kara śmierci.

Ostatnie słowa nie dodały świadkowi odwagi. Przeciwnie, ze strachu ugryzł przez pomyłkę kawałek filiżanki, zamiast chleba z masłem.

W tej chwili Ala poczuła, że coś się z nią dzieje. Narazie nie wiedziała co i przelękła się. Ale wkońcu zrozumiała, że zaczyna rosnąć.

— Co wiesz o tortach? — zawołał gniewnie król do kapelusznika.

— Jestem niewinnym człowiekiem, tylko zając Październikowiec powiedział...

— Nic nie mówiłem — przerwał zając w wielkim pośpiechu. — Zaprzeczam temu.

Nieszczęsny kapelusznik przyklęknął na jedno kolano i zawołał:

— Wasza Królewska Mość, jestem tylko nędznym człowiekiem.

— Możesz iść — przerwał mu król, a kapelusznik wybiegł z takim pośpiechem, że pogubił pantofle.

— Precz z jego głową! — wrzasnęła królowa, lecz było już za późno.

— Wezwać następnego świadka— zawołał król i Ala z przerażeniem usłyszała, jak herold zawołał.

— Teraz zeznaje Ala!

— Co masz do zeznania? — zapytał król.

— Nic — odpowiedziała Ala, ciągle rosnąc.

W tym momencie król, który pilnie coś pisał w notesie, zawołał:

— Prawo czterdzieste drugie: Wszystkie osoby, mające więcej, aniżeli jedną milę wysokości, winny natychmiast opuścić salę.

— Nie ruszę się—odparła Ala.— To nie jest porządne prawo; ono dla mnie specjalnie zostało dopiero teraz napoczekaniu wynalezione.

— To jest najstarsze prawo w notesie — zawołał król.

— A więc powinno być oznaczone numerem pierwszym — zatriumfowała Ala.

Król zbladł, zamknął pośpiesznie notes.

— Ogłoście swój werdykt — powiedział do przysięgłych.

— Wasza Królewska Mość! Tu jest jeszcze jedno pisemne zeznanie — zawołał herold.

— Co zawiera?

— Nie czytałem tego jeszcze.

— Do kogo jest adresowane? — zapytał jeden z przysięgłych.

— Jest bez adresu i to nie jest wogóle list, to są jakieś wiersze.

— Czy pisane są ręką więźnia?

— Nie jego, i to jest właśnie najdziwniejsze.

— On pewnie naśladował czyjś charakter pisma — domyślił się król. — Nie podpisałeś tego — mówił dalej — więc zawiniłeś tem ciężej. Żaden uczciwy człowiek nie wstydzi się podpisać swego nazwiska. Odczytaj zeznanie:

Oni mówili, że ty byłeś u niej
I wspominałeś mu o nim
Ona mi przyznała dobrą duszę
Ale powiada, że nie umiem pływać

— Niech przysięgli wygłoszą swą opinję — zawołał znowu król.

— Nie! — krzyknęła królowa — wyrok najpierw, werdykt później.

— Głupstwo, — zawołała Ala — najpierw wyrok, a potem orzeczenie ławy.

— Precz z jej głową — ryknęła królowa, lecz nikt nie drgnął, by wykonać jej rozkaz.

— A któżby się liczył z tobą! — zawołała Ala, która już tymczasem dosięgnęła wzrostu ludzkiego, na co wszystkie stworzenia patrzyły z okropnem zgorszeniem i oburzeniem. — Jesteście tylko talją kart, niczem więcej.

W odpowiedzi na to, cała talja kart podskoczyła i runęła na nią. Ala lekko krzyknęła i otrząsnęła się. W tej chwili zrozumiała, że się obudziła. Zaczarowany kraj zniknął, a dokoła niej był zwykły świat.

L. Ciechanowiecka

Cudowne dzieci

Z wizytą u Adasia i Krysi Lewandowskich

BYWA TAK, BYWA INACZEJ

Tak zwane cudowne dzieci bywają nieznośne. Każdy z nas miał w rodzinie przynajmniej jednego cudownego bachora, co to się go pokazuje gościom, jak tresowanego pieska. W każdej szanującej się rodzinie znajdzie się ktoś, kto dorósłszy, okazał się zdeklarowanym idjotą, a jako małe dziecko uchodził za genjusza. Znamy te pięcioletnie cuda, które w salonie deklamują „Powrót taty", śpiewają à la Kiepura, albo, jeszcze będąc w pieluszkach, dyrygują niewidzialną orkiestrą.



Pierwsza rzeźba Krysi Lewandowskiej p. t. „Przyjaciele". Rzeźbiąc ją Krysia liczyła 7 lat.

Wystarczy, gdy dziecko machnie tłustą nożyną, żeby powiedziano o niem: „urodzony Fitelberg". Czasami bęben bąka coś pod noskiem, co przypomina pomruk kota, wówczas mówi się, że ma absolutny słuch i że powtarza piąty takt sonatiny Ravela, albo arję z „Króla Rogera". Gdy wyrżnie niańkę grzechotką, powiadają, że to przyszły as lekkoatletyki, a gdy dzieciak zacznie wrzeszczeć w niebogłosy, słuchając swojej grającej mamusi, to wiadomo zgóry, że to przyszły Chopin, bo muzyka robi na nim takie „wstrząsające wrażenie". Cudowny chłopiec chadza w aksamitach i koronkach, kopie pokryjomu młodsze rodzeństwo, jest obcałowywany przez starsze ciotki i szantażuje rodzinę migreną, gdy trzeba, by dokończył tabliczki mnożenia. Dekalog go nie dotyczy—rodzice są pod terorem takiego przyjemniaczka.

Co się potem dzieje z temi cudownemi dziećmi, niewiadomo. Wracają za kulisy życia i tyle je widać.

TRZYNASTOLETNI KOMPOZYTOR

Toteż, gdy mi odpowiadano o nowych „wunderkindach", które pojawiły się na horyzoncie krakowskim, a obecnie zabłysnęły nad Warszawą — wzdrygnęłam się. Szłam do nich z wizytą ze strachem, a wyszłam z wypiekami. Z zachwytu. Równie uroczej pary wunderkindów nie widziałam. Nietylko cudownych dzieci, ale poprostu równie miłych dzieci. Bo to są przemiłe, najweselsze dzieci, „serdecznie śliczne" — jakby je określił lwowski Szczepko. On trochę przypomina chłopców z opowiadań Nowakowskiego. Nie mu się w głowie nie przewróciło z tego powodu, że gra na fortepianie jak prawdziwy artysta (ma lat 13), że komponuje utwory, które podziw budzą w dorosłych kompozytorach. Jest trochę zażenowany tym swoim darem i chciałby za wszelką cenę odwrócić od siebie uwagę. Ta jego muzykalność, te nokturny i humoreski, które tworzy od 3-go roku życia, chociaż dopiero rok temu poznał nuty, to wszystko jest nieważne i kłopotliwe, bo mu czasami przeszkadza być sobą — miłym psotnym chłopcem, który zamiast pokazywać się gościom, jak fenomen od Barnuma, wolałby poprostu bawić się z równie wesołą i pomysłową siostrzyczką i kolegami. Gra na fortepianie i komponuje, no tak — bo muzyka jest mu potrzebna, jak powietrze. Ale dlaczego zaraz z tego powodu „wywiady"...

JEDENASTOLETNIA TANCERKA I RZEŹBIARKA

Jedenastoletnia Krysia jest znaną tancerką. Ma wielki album z recenzjami z paryskich i krakowskich występów. A od dwóch lat jest rzeźbiarką. Ponieważ taniec i rzeźba również są potrzebą jej natury, więc i ona pozostała, pomimo owych recenzyj, pochwał, zachwytów — prostem, szczerem dzieckiem. Jej rówieśniczki szyją sukienki dla lalek, albo układają gotowe łamigłówki — ona rzeźbi z gliny posążki, wyobrażające taniec, dzieci, smutek, nędzę, ogień... Czasami są to postacie z bajek.

Zresztą wygląda sama, jak dziewczynka z bajki. Tak sobie wyobrażam Śnieżkę, a może Alicję z krainy czarów. Szczupła, blada panienka, o szarych, pełnych wyrazu, oczach, i ciemnych, jedwabnych włosach. Oczy są melancholijne, jakby dostrzegały smutek, czający się zza każdego węgła, ale na drobnych usteczkach co chwila wykwita ufny dziecinny uśmiech, a smukłe nóżki podrygują tanecznie. Krysia nie potrafi spokojnie usiedzieć na miejscu, każda jej odpowiedź bywa potwierdzona nżkami, które albo podskoczą wesoło, albo zatupią na znak uciechy. Czasami klaszcze w ręce — gdy jej się coś spodoba. Adaś — wysoki, wątły chłopiec, o delikatnej twarzy i niesfornej jasnej czupurynie, ma niezmiernie charakterystyczne ręce— długie, kościste palce o krótko przyciętych paznogciach; ruchliwie i nerwowo dotykają one prętów, jakby chciały na nich grać.

Adaś zamieszkał w Warszawie, gdzie bierze lekcje od profesorów Sikorskiego i Drzewieckiego. Warszawa... Wielkie zdarzenie... Przerwa w naukach... przymusowe wakacje... spotkanie z Szymanowskim... koncerty... nauka kontrapunktu... ujmowanie w karby niesfornej duszy.

DZIEDZICTWO

Siedzimy w podniebnem nowoczesnem mieszkaniu, nad Wisłą. Ze ścian przyglądają się niezwykłym dzieciom subtelne oblicza: dziadka, malarza Błotnickiego, powstańca z 63 roku, i Błotnickiego, rzeźbiarza. Bo Krysia i Adaś Lewandowscy pochodzą z artystycznej rodziny. Matka ich — jasnowłosa pani o łagodnym uśmiechu, jest cenioną śpiewaczką i malarką (uczenica Boznańskiej); ojciec porzucił sztukę dla adwokatury. Los obdarzył tę uprzywilejowaną rodzinę kapitałem talentu, który z latami wzrósł i dzisiaj spadł na tych dwoje dzieci, jak niespodziewana scheda.

Właściwie, to jest nieładnie, żo tam w górze tak nierównomiernie obdzielają rodziny. Jedna matka otrzymała w prezencie aż dwoje utalentowanych dzieci — jednoby jej wystarczyło, drugie mogłoby się stać ozdobą innej rodziny, wychowującej gromadkę dorodnych matołków. I w tej dziedzinie trzeba będzie zrobić porządek — hasło: równa repartycja talentów. Baczność Tow. Eugeniczne! Założyć nową sekcję...

Na stole kawa z kożuszkiem i babka, jak puch. Spoczątku rozmowa się nie klei. Mama mówi za nich. Krysia siedzi grzecznie, ale Adaś co chwila przerywa: „Ależ mamo... poco to mówić... co to kogo obchodzi...".

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO?

A mama właśnie opowiada, jak to się zaczęło, — że Adaś już jako trzyletni chłopiec wygrał na fortepianie dumkę, a potem, spowodu każdej ważniejszej okazji, układał utwory muzyczne.

— Ależ... (potrząsa rozpaczliwie głową i macha bezradnie ręką) ależ mamo. Przecież pani chce mówić tylko z Krysią. Ja wiem...

Jest zaskoczony i zły. Przed mojem przyjściem pytał się Krysi, czy aby naprawdę z nią tylko będzie wywiad. żeby jego czasem nie pytano.

— A może jednak Adaś opowie mi coś o sobie? Dlaczego muzyka go tak ciągnie...

Milczy chwilę, bo ma właśnie usta pełne babki.

— No, cóż — czasami czuję kamień na duszy (uderzył się ręką w piersi), wtedy siadam do fortepianu i tak sobie... no, jakby to powiedzieć... nagadam się... naskarżę się i — przechodzi.

— Pierwszy jego utwór — powiada matka — to był Strumyk i dziewczynka. Ilustracja bajki o królewnie, którą porwano.

— Mamuuuuusiu (z wyrzutem), cóż to panią obchodzi...

Chytrze zmienia temat rozmowy.

— Proszę pani, a jak to było na tej Saharze? Czy naprawdę tam niema lwów? Ach, jak jabym chciał pojechać do Hoggaru...

Krysia takżeby chciała. Aż się zerwała z kanapy i zaklaskała w rączki.

Teraz ja zaczynam postępować, jak dyplomata z em-es-zetu.

— Pojedziemy razem na Saharę, z fortepianem. Dobrze? Ale Krysia musi mi teraz powiedzieć, kiedy zaczęła rzeźbić i dlaczego.

— Czytałam powieść o Wawrzusiu, a on przecież rzeźbił, chociaż się nie uczył, więc i mnie także się zachciało. Ciocia kupiła mi plasteliny.

Na pianinie stoi smukła, naga tancerka. Za chwilę uleci w niebo, tak jest lotna i zgrabna. Każda z tych rzeźb ma rytm taneczny. Nie dziwnego. Krysia przecież zaczęła tańczyć, niemal gdy wyskoczyła z pieluszek.

KARJERA TANECZNA

W wielkim, zniszczonym kajecie wlepiono recenzje z występów w Krakowie, Katowicach, Paryżu. Paryż przyjął 7-letnią tancerkę nadwyraz serdecznie. Krytyk Algazi nazywa ją „małą a wielką artystką". („Ta mała, której rówieśniczki bawią się lalkami, potrafi wykonywać niesłychanie skomplikowane tańce, jest wirtuozką, przytem odgrywa po mistrzowsku epizody o dramatycznem napięciu — cierpi, płacze, walczy, zwycięża, przeżywa



Krysia Lewandowska ze swojemi rzeźbami (pośrodku wśród rzeźb głowa brata, Adasia Lewandowskiego).

radosne ekstazy i umiera, wzruszając nas szczerością wykonania...").

A w „Journal des Débats" z r. 1929 zachwyca się Imbert artyzmem maleńkiej Krysi, która tańczy i „gra" preludjum Rachmaninowa, wznosząc się na wyżyny tragizmu. „Dorosłe tancerki mogłyby jej zazdrościć".

Jachimecki w „Głosie Narodu" powiada, że jest ona zjawiskiem wyjątkowem, istotą, którą natura predestynowała do wypowiadania się artystycznego w formach tanecznych i mimicznych.

„Cri-Cri" tańczy, bo musi tańczyć, a w wolnych chwilach rzeźbi, co jej przemknie przez główkę. I bawi się tem, jak dziecko.

DZIECI

Wywiad z dwojgiem naraz dzieci nie jest rzeczą łatwą. Rozmowa rwie się — raz jedno mówi, to znów drugie, czasami oboje naraz. Są uradowani, że są w Warszawie. Tyle wrażeń, tyle do zwiedzania. Trzeba czytać, ćwiczyć się, studjować harmonję.

— Bawimy się także — dodaje Krysia.

— Co ty mówisz — powiada Adaś z wyrzutem — bawiliśmy się przedtem, w Krakowie. To nie Kraków, to Warszawa. Teraz trzeba myśleć poważnie.

— Zabroniono mu improwizować — ciągnie dalej Krysia — ale on ułożył gawota dla Róży.

— Ciii... — przerywa Adaś. — Przecież mi nie wolno. Nie trzeba mówić o tym gawocie. Oj, proszę pani — i niech pani czasami nie pisze, że to dla Róży, bo ona jeszcze nic nie wie.

— To moja koleżanka z Krakowa. — dodaje konfidencjonalnie Krysia. — My się razem bawimy. Naprzykład w szkołę tańca. Adaś jest u mnie na służbie.

— Co ty?... Co ty? — złości się Adaś. — Ja u ciebie na służbie? Coś podobnego. (Wzrusza ramionami). — Jestem portjerem, proszę pani. Zapisuję tych, co wchodzą. Piętnaście uczenic — a wszystkie to jedna Krysia. Każda inaczej wchodzi, inaczej tańczy. A potem jest taka sala z niespodziankami, w której podłoga się chwieje, ze ścian wyłażą strachy. Krysia znika, potem boi się, ucieka, dokazuje.

— Albo znowuż on gra utwór o murzyńskim królu, „dziki marsz", a ja sobie tańczę. Że niby mnie porywają.

— To ja ciebie porywam i wywożę do Azji i sprzedaję szachowi.

PRZY FORTEPIANIE

Adaś już zapomniał, że to wywiad, tembardziej, że schowałam groźny ołówek i notes. Machinalnie podbiega do pianina i zaczyna grać.

— „Rzeźbiarz" — powiada cicho Krysia.

I nagle — ręce wątłego chłopca w uczniowskim mundurku spadają drapieżne i władne na klawisze. Zda się wyrywają z nich akordy i oktawy szalone. Rozdzwoniły się wszystkie struny. Nogi w wełnianych pończochach nerwowo naciskają pedały. Blada twarz pochyla się nad klawiaturą, kosmyk niesfornych włosów spadł na czoło. Spod fluidalnych palców płynie rwący potok tonów, wybiegają kawalkadą obłędną kwarty, nony i oktawy, czasami zagra dalekie echo jakiejś zaświatowej melodji, ale wnet ginie, poto, by znowu wyłonić się, jak kwiat z dżungli dźwięków. Ręce, pokryte błękitnemi żyłkami, każą tonom zamienić się w wodospad, poto, by nagle uciszyć je i przejść kadencją osobliwą w łagodną, księżycową kołysankę.

Na niewielkim zeszycie nutowym czernią się świeżo zapisane znaki. To zadania, które teraz Adaś wykonywa pod kierunkiem profesora.

— Dziwna rzecz — powiada — tamte kompozycje mam w głowie, jak w składzie nut, a tych pisanych, przemyślanych nie mogę spamiętać. Ale lubię pisać nuty. To takie zajmujące.

Jeszcze słucham ilustracji muzycznej do sonetów krymskich. „Noc na Ałuszcie" — wschodnia noc wypływa z pianina z dalekim jękiem wiatru, wiejącego od morza, z muzyką sfer niebieskich i wonią kwiatów. A potem nagle piorun jednego dysonansowego akordu — koniec.

— Uuuuuu... — cieniutko zawyła biała Skierka, która siedziała cicho w objęciach matki cudownych dzieci. Rasowa psinka, podobna do kłębka włóczki, kręci czarnym trufelkiem noska, wytrzeszcza onyksowe, łzawe ślepia i prosi, żeby przestać. Muzyka ją denerwuje. Więc Adaś wstaje od pianina.

CZEMBY CHCIELI BYĆ

Mama jeszcze opowiada, jak to Adaś podczas choroby grał, podnosząc się z łóżka, a siostrzyczka siedziała na ziemi i naciskała rączkami pedały, podług dyktanda.

— A pamiętasz, jakeś improwizował spowodu smacznego sznycla, co kucharcia usmażyła?

Adaś zbladł straszliwie i przebił siostrę morderczem spojrzeniem.

— Jakże możesz... Pani to napisze... Będą się ze mnie śmiali...

Ale zaraz oboje na wspomnienie owego sznycla parskają śmiechem. Dowiaduję się jeszcze, że Krysia najbardziej lubi historję i teatr, — to wszystko, co się da rzeźbić i wytańczyć. Adaś nie cierpi matematyki, lubi „geografję i już", i jednego profesora, który tak mądrze, jak nikt, uczy polskiego, bo zadaje strasznie ciekawe pytania, „psychologiczne"; każe sobie opowiadać sny... I jeszcze, że w lecie jeżdżą na wieś, gdzie jest wielki ciemny las i wiewiórki. I chodzi się na polowanie.

— Mamy nawet rewolwer — powiada Krysia.

— Flower — poprawia Adaś. — Z rewolwerem się nie poluje.

No, i czemby chcieli być.

— Ja aktorką dramatyczną — mówi Krysia.

— A ja muzykiem — dodaje Adaś i patrzy tęsknie na pianino.

— Adasiu, a czy ty dużo grywasz — ćwiczysz palcówki, gamy?

— Co?? — pyta zdumiony i otwiera usta.

Krysia zaśmiewa się i mruga na mnie lewem okiem.

— On wcale... On teraz dopiero...

— Ach, będę, będę ćwiczył, naturalnie... Pan profesor każe. Ale dotychczas...

Trzeba iść, bo za chwilę koncert w Konserwatorjum. Adaś nakłada gorączkowo płaszcz ze złotemi guzikami i czapkę z daszkiem.

— Kalosze... kalosze — woła matka. I zaraz sobie przypomina: — Ach, prawda, on je zostawił umyślnie w pociągu, żeby po Warszawie nie chodzić w kaloszach. Niedobry chłopiec...

Zdzisław Broncel

Pieśń o radości

Wiosennym tańczę obłokiem,
Wiruję z wiatrów podmuchem —
Złotego słońca dukaty
Za siwą zgarniam pazuchę.

Wiosenną tryskam balladą,
Wściekłą balladą o wiośnie!
Tęczą, co hojnie pas lity
Na siedmiobarwnem tka krośnie.

Wiosenną bucham ulewą,
Rzęsistym deszczem — rzęsistym!
W klasztornych cichych ogrodach
Pijanym, zielonym liściem!

Zieloną rosnę lawiną.
Kiścią radosnych okrzyków,
Drzewem, co śpiewa — hosanna!
W świergocie ptasich sejmików.

Palmową kwitnę niedzielą,
Glorją huczących organów —
Gościńcem polnym, wsłuchanym
W łopoty skrzydeł bocianich.

Wiosennym płynę obłokiem
Po halach bożego Gazdy —
Do wschodów przyzywam słońce,
Do zagród zapędzam gwiazdy.